

# SCENA!

**A** DRESATEM toastu jest, oczywiście, aktualny warszawski Jubilat święcący na deskach Teatru Polskiego półwiecze pracy aktorskiej. Delikatesy z psychoanalitycznym towarem znaleźć można w Teatrze Współczesnym, na przedstawieniu sztuki Harolda Pintera „Dawne czasy”.

Tadeusza Fijewskiego przedstawiać nie trzeba. Kochają go niezmiennie i z wzajemnością wszystkie muzy, z jakimi aktor może mieć do czynienia. Teatr, film, estrada, telewizja, radio. Razem oznaczają to ogromną ilość kreacji, wiele naszego — odbiorców — wzruszenia, zasłużoną popularność. Najczęściej powiada się o nim: ciepły, ludzki, po chaplinowsku tragikomiczny i bezradnie — autentyczny. Nie, to nie jest aktorstwo, o którym można by zakrzyknąć „nowoczesne”, jeżeli za wyróżnik nowoczesności przyjmujemy jedynie odrzucenie realizmu i wszystkiego, co wrzuca się do pojemnego worka z napisem: psychologizm. Fijewski jest i psychologizmem wiarygodnym, i realistycznym, i wzruszającym, i prawdziwym, ale jest też i zupełnie inny. Empluoi ma bogate i wielostronne. Kalmita z „Chłopców” Grochowiaka z jednej strony i beckettowski Gogo z „Czekając na Godota” — z drugiej; pyszny Twardosz z fredrowskiego „Dożywocia” i gogolowski Pluszkin z „Martwych dusz”. Bywa liryczny i zagubiony w życiu, ciepło-chaplinowski — zgoda, bywa też osobowością ostrą, drapieżną („Pamiętnik szubrawca” chociażby). Po prostu: jest Tadeuszem Fijewskim, znakomitym aktorem, dzięki któremu często zdarza się nam zadumać nad kondycją człowieka, zrewidować nasz do niego stosunek. Laurek mu nie potrzeba. Artystyczne curriculum vitae broni się samo. Mimo tego ostatniego, jubileuszowego spektaklu molierowskiego na ulicy Karasia.

Od razu na początku — oczywiście, że Tadeusz Fijewski grający w „Chorym z urojenia” tytułową rolę Argana wywiązuje się ze swego zadania aktorskiego wspaniale. Rzecz w tym, jakie to mu zadanie zaproponowano, w co włożono. Wznosząc „sto lat”! za Jego zdrowie i dalsze sukcesy wypada chyba zapomnieć — a szkoda — tę arlekinadę, skrzyżowanie stylu commedia dell'arte, burleski, farsy i śpiewogry, zaprezentowane w spektaklu molierowskiej, ostatniej arcykomedii, obciążonej wspomnieniem o śmierci autora. Molier umarł 17 lutego 1672 roku grając na scenie rolę Argana. Sięgnięcie dziś po „Chorego z urojenia” jest znowu swoistym jubileuszem, akcentem przypomnienia, że od tego dnia minęło już lat 300. Tym przypom-

nieniem ma zresztą służyć cały rok obecny, ogłoszony Międzynarodowym Rokiem Molierowskim. W roku 1921, w tym samym Teatrze Polskim, w przedstawieniu „Chorego z urojenia” zadebiutował dziesięcioletni chłopczyk. Był nim Tadeusz Fijewski... Klamra się zamknęła. Dwa jubileusze, jeden powód sentymentalny — to chyba wystarczający komplet przesłanek do wystawienia tej sztuki. Wystawiono. Mam tylko parę pytań: dlaczego Fijewski musi nosić strój clowna, chociaż słusznie gra postać z mądrej komedii, a nie z farsy? Dlaczego zdecydowano się na zagranie wszystkich wstawek wokalnótanecznych, tzw. międzyaktów, często przy „Chorym z urojenia” opuszczanych, nie mając do tego celu wykonawców? I co lepsze? Mądra komedia charakterów (gorzka, mniej gorzka, pogodna, sarkastyczna — różnie się ją wystawiało i wystawia) czy farsa-nie farsa, w której nic i nikt nie jest z farsy? A już szczerze współczuć trzeba tym z aktorów, którzy zmuszeni zostali do wokaliz i popisów tanecznych. Jest jesz-

## STO LAT!

## I DELIKATESY

## PSYCHOANALITYCZNE...

cze jedna sprawa — młodzieżowa widownia, która wali tu tłumnie, by zaliczyć kolejną lekturę szkolną. Że zobaczy Fijewskiego — w porządku. Gorzej, jeżeli nabierze przekonania, że tzw. klasyka, że Molier, że komedia — to to właśnie. A skądinąd — może to „duch Moliera bruździ?”

TERESA KRZEMEN.